

STARA
SZUFLADA

Jerzy Korczak

Artura Maryi
wzloty i upadki

*Z ulicy Wenecja do Sukiennic prowadził
mnie Artur i Ronard
a to nie takie proste, gdy jest tyle kamienic i
gdy noc zielona-szalona*
K. I. Gałczyński

Pisarz jest mądrzejszy niż to, co mówi, ale głupszy niż to, co pisze – stwierdzał w jednym ze swoich niezliczonych kalamburów Artur Marya Swinarski. Ten wybitny satyryk i płodny dramaturg zaludnia dziś wielką krainę cieni, w której tłoczą się zapomniani twórcy. A przecież do późnych lat 50. był obiektem niezliczonych anegdot, jego książki błyskawicznie znikwały z księgarni, a na spotkaniach autorskich miał tłumy czytelników. Tym smutniejsze wydają się dzieje jego literackiego i życiowego schyłku.

Debiutował jako osiemnastolatek w poznańskim „Zdroju” u braci Hulewiczów. I był to debiut podwójny. Najpierw jako grafik. Posłał do redakcji „Zdroju” parę drzeworytów i czekając na odpowiedź, marzył, że odniesie w tej dziedzinie wielkie sukcesy, że redakcja natychmiast poprosi o dalszą współpracę, zaofiaruje pośrednictwo przy sprzedaży prac i zaproponuje udział w najbliższej wystawie polskich ekspresjonistów. Marzenia szybko i dość nieoczekiwanie stały się rzeczywistością – „Zdrój” poświęcił młodemu grafikowi cały zeszyt, a jego redaktorzy zaofiarowali się z wszelką pomocą w dalszej karierze plastycznej.

Gorzej poszło z literaturą, Jerzy Hulewicz długo nie chciał drukować debiu-

tanckiej *Wieży Babel*; przeforsował ją dopiero Witold w lipcu 1920 roku. Odtąd właśnie dramat, a nie satyra, stanie się oczkiem w głowie autora. Do tej dziedziny twórczości będzie przywiązywał największą wagę, bagatelizując swoje świetne parodie i całą bogatą twórczość satyryczną.

Po latach we wstępie do wydanych przez paryską „Kulturę” czterech utworów dramatycznych zwierzy się: *Przez kilkanaście lat, a może dłużej byłem producentem lichej literatury. Gnuśnym imitorem. Jedno aliści wiedziałem od razu: dziełem sztuki może być tylko dramat; liryka niech będzie przygotowaniem, monologią dramatyczną, miniaturowym dramoletem. Tout le reste est littérature! Nie pisałem powieści, a parodie i satyry tylko, żeby ludziom dokuczyć.*

Pochodził z dobrego ziemiańskiego domu, któremu przysparzał niemało kłopotów. Już na długo przed wojną cała rodzina zajmowała się wykupywaniem tomików, pełnych sprośności, które wychodziły spod pióra młodego przedstawiciela rodu. Najgorzej cierpiała matka; w związku z jego poetyzowaniem musiała wciąż się wstydzić. W którejś książeczce zamieścił apostrofę do swojej rodzicielki, w której napisał: *Mamo, powiedz – czy nie dało się temu zapobiec – że jest ze mnie taki rudy okularowiec?*

Trudno się dziwić, że cały nakład i tej pozycji pozostał w rodzinie. Mam wciąż w pamięci jego wpadający w ucho utworek:

*Gdy Pan Bóg świat stworzył
Ogród wielki, tak zwany raj, założył
Rosły tam palmy, kaktusy i dynie,
Pasały się pumy, żyrafy i świnie.
„Niedobrze by świnia była sama”
Powiedział Pan Bóg i stworzył Adama...*

Pamiętam też, powtarzany często w literackim środowisku, dialog pomię-

dzy nim a poetą Frasikiem. „My obaj jesteśmy ze wsi, panie Arturze” – powiedział Frasik. „Tak, ale ja ze swojej” – odpowiedział Artur Marya.

Poznałem go w warszawskim Klubie Literatów w dość nieoczekiwanych okolicznościach. Siedziałem przy stoliku z Magdaleną Samozwaniec, z którą miałem właśnie bardzo kłopotliwą rozmowę. Prowadziłem w Poznaniu Teatr Satyryczny i jako kierownik artystyczny tej sceny zmuszony byłem odwalić kiepską sztukę autorki. Jej komedyjka była naprawdę do kitu: płaska, mało dowcipna, bez nerwu i wyczucia sceny. Rola kata głośniejszemu pisarki jest szczególnie kłopotliwa. Dodatkowo dochodziło jeszcze zdziwienie: przecież był to okres, gdy jej *Błękitna krew* i wciąż wznawiane *Na ustach grzechu* święciły czytelnicze triumfy, wszyscy zaśmiewali się z parodystycznych pomysłów, a tu tak ewidentny niewypał. Szczerze żałowałem, bo akurat pilnie poszukiwałem dla Teatru Satyry dobrej komedii polskiego autora.

Właśnie wyciągnąłem z teczki egzemplarz tekstu, żeby go jej zwrócić, gdy z hałaśliwym powitaniem podszedł do Madzi szczupły mężczyzna w okularach i purpurowej muszce, odcinającej się od jasnego garnituru i bladej twarzy. Coś chyba niecenzuralnego powiedział jej do ucha, bo ona, śmiejąc się i grasejąc po swojemu, coś półgłosem odpowiedziała. – Nie znacie się? – spytała ze zdumieniem. – To Arturek Swinarski. – Ten zdążył już przysunąć krzesło i zamówić kawę. Rozmowa z miejsca stała się gęsta od kpín, szyderstw i najrozmaitszych złośliwości. Swinarski eksplodował wciąż humorem i na nikim nie pozostawiał suchej nitki. Na szczęście nie było już moż-



liwości, aby ciągnąć rozmowę o nieszczęsnej komedyjce.

– Tylko go nie uwiedź- powiedziała na odchodnym Madzia, całując Swinarskiego w policzek. Do mnie uśmiechnęła się kwaśno. Odtąd do samej śmierci ledwo mnie poznawała.

– Co tam w Poznaniu? – spytał po chwili Swinarski, innym niż przed chwilą głosem. Był poważny, jakby mu nagle odeszła ochota do kpin i dowcipów. Wcale nie czekał na moją odpowiedź i sam zaczął mówić. – Poznań! Tam debiutowałem. Moje najmlsze lata. „Różowa kukulka”, „Klub szyderców”, wspaniałe kabarety. I jaka publiczność. W żadnym mieście takiej nie było. Cicho pod nosem zanucił refren: „Ściśnij rękę, spójrz mi w oko, niech ta chwila wiecznie trwa, ściśnij mocno, spójrz głęboko duli-duli-da...” To intonował co wieczór Ludek Puget, a za nim ca-

ła sala chórem. Ludek! Cóż to był za złoty człowiek. Gdyby nie on, nie przeżyłbym okupacji. Mieszkałem u niego w Krakowie na ulicy Wolskiej. Dzielił się ze mną forszą, jedzeniem, własną koszulę ściągnąłby z grzbietu dla drugiego. Dziś nie ma już takich! Ja byłem w obu kabaretach konfeksjerem, reżyserowałem, wymyślałem kawały. Zabawa trwała czasem do białego rana. I to jaka zabawa!

Był tak rozmarzony, że dopiero po chwili ocknął się i na dobre zaczął słuchać. Starałem się mu powiedzieć o Poznaniu jak najwięcej. Co gra się w teatrach, co w operze, jakie mamy plany na naszej satyrycznej scenie. Że nie przymerzamy się do żadnych formalnych eksperymentów, bo nas na to nie stać. Chcemy walczyć z obłudą, fałszywą moralnością, przekłuiwać różne zastale tabu, a to da się zrobić tylko poprzez dobrą li-



teraturę. Mamy więc w planach repertuarowych Prospera Mérimée, Machiavellego, Brechta, Ionesco, Apollinaire'a. Graliśmy już duże fragmenty *Łaźni*, teraz idzie prapremiera *Babci i wnuczka* Gałczyńskiego. Władze patrzą na nas kosym okiem, bo chcą, żeby grać składanki o współczesnym wydźwięku i nic z naszych ambicji nie rozumieją.

Artur Marya słuchał z coraz większym zainteresowaniem. Co jednak miało wynikać z naszej rozmowy, przekonałem się mniej więcej po miesiącu. Dostałem od niego list z zapytaniem, kiedy będę w Warszawie; koniecznie chce się ze mną zobaczyć, bo ma ciekawą propozycję. Trochę mnie to zaintrygowało, ale na głowę waliły się kłopoty ze wszystkich stron. Teraz atakowano Teatr Satyry już nie tylko za cudem przeszmuglowaną przez cenzorskie sito *Łaźnię*, *Babcię*

i wnuczka, ale w ogóle za repertuar. Organizacyjna strona tej sceny wydawała się też nie do utrzymania. Był on na garnuszkę dziwnego tworu pod nazwą „Artos”. Miało to być w swoim założeniu przedsiębiorstwo popularyzujące tak zwaną sztukę masową na wsi i w małych miasteczkach. Kilka ekip – dwóch, trzech muzyków, piosenkarka, estradowy humorysta, iluzjonista i konferansjer – ruszało w objazd. Ten magiczno-słowno-wokalny groch z kapustą miał z reguły poziom bardzo mierny i przyuczał do złego gustu. Przemyczał jednak „treści ideologiczne”, mało kosztował, a niekiedy przynosił, o dziwo, nawet dochód. W takim układzie teatr z artystycznymi ambicjami był wrzodem na zdrowym ciele socjalistycznego przedsiębiorstwa, a dla księgowych naturalnym wrogiem, bo przecież trzeba było do niego dopłacać.

A.M. SWINARSKI na tarasie domu przy pl. Szczepańskim, Kraków 1934 r. Fotografia archiwum

– Niech pan to spokojnie przeczyta – powiedział Artur Marya, wręczając mi egzemplarz. – Jestem pewien, że się panu spodoba. Zaraz po wojnie miał to wystawić w Krakowie Teatr Słowackiego, ale nie mieli aktora na Achillesa. Muzyka Różyckiego jest gotowa. Jak udało się panu przechytrzyć cenzurę i wystawić *Łągnię*, może uda się i z tym.

Tak zaczęła się wielka przygoda z *Achillesem i pannami*, która jeszcze na parę lat miała przedłużyć żywot Teatrowi Satyry i wywołać w Poznaniu obyczajową sensację, co nie zdarzało się w tym mieście od dawna. Od razu wyczułem, że jeśli odważymy się to zagrać, albo zamkną budę z hukiem i trzaskiem, albo wreszcie wybrniemy z finansowych kłopotów. Bo, że ludzie będą walić do teatru drzwiami i oknami, byłem pewien. Rozsądek kazał jednak wziąć pod uwagę kilka podstawowych spraw. Nasz teatr, dzielący scenę z teatrem dla dzieci, przylegał do kościoła świętego Marcina. Nie raz w czasie spektaklu tekst wygłaszany przez aktorów zagłuszały śpiewy nieszpórów. Z proboszczem i kościelnym żyliśmy wprawdzie w przyjaźni, ale jak się rozwinie ta przyjaźń, gdy po scenie zaczęną hasać skąpo ubrane dziewczyny z antycznej Grecji? I gdy Achilles będzie udowadniał, że to nie bocian przynosi dzieci? To wszystko było jednak małym piwem wobec podstawowego pytania: czy tekst puści cenzura? Bo autor nafaszerował utwór nader przejrzystymi aluzjami do współczesności. I zaraz pojawiło się pytanie następne: jak to wystawić za względnie małe pieniądze? Bo nie trzeba przypominać, że w latach 50. nikt nie słyszał o hojnych sponsorach. I nikt nie przewidywał, że nad Wisłą i Wartą

będą w parę dziesiątków lat później istniały różne holdingi, gotowe dla reklamy wysupłać z kabzy trochę grosza. Uparłem się jednak i postanowiłem stanąć na głowie, żeby pokazać Poznaniowi tę antyczną dulszczyznę na dworze króla Likomedasa, różne wojenne kombinacje Greków i trochę pikantnej golizny. Trzeba było po kolei pokonywać przeszkody. Hasłem generalnym, które miało przekonać miejscowe władze, że sztuka w niczym nie zagraża przodującemu ustrojowi, była walka z kołtunierią i wstecznictwem.

Po wielu machiavelistycznych zagrywkach udało się wreszcie wydobyć z cenzury imprimatur na egzemplarzu. Nie było to równoznaczne z ostateczną zgodą, bo przed premierą przychodziła zawsze komisja, która mogła jeszcze sporo namieszać. Zdarzało się to raczej rzadko, ale i z tym należało się liczyć.

Warunki pracy wymagały od wszystkich końskich sił. Nie mieliśmy przecież własnej sali. Rano i popołudniu zajmował ją „Marcinek”, my graliśmy wieczorami. Próby można było rozpoczynać dopiero po zdemontowaniu dekoracji, czyli najwcześniej o dziesiątej wieczorem.

Z początku szło jak najlepiej. Zespół był pełen zapału, podniecała wszystkich pewność, że przygotowujemy obyczajową sensację, że rozpoczynamy w Poznaniu walkę z nudą, pruderią i repertuarową monotonią. Takie przeświadczenie mieli nie tylko aktorzy, ale także pracownicy techniczni, skłonni zwykle do mal-kontenctwa, zwłaszcza, że pracowali w warunkach naprawdę trudnych.

Artur Marya przyjeżdżał często, aby zobaczyć, jak jego tekst nabiera życia. Wszystko co działo się na scenie, a także za kulisami, ogromnie go radowało,

zwłaszcza, że niektórzy aktorzy także preferowali płęć męską. On swoich skłonności nigdy nie ukrywał; mówił o nich głośno i przy różnych okazjach. Patrzyliśmy na te flirty i wzajemne dusery, nieźle się bawiąc i po cichu dowcipkując.

Coraz częściej pod byle pretekstem zaglądał do nas z sąsiedztwa zaprzyjaźniony kościelny. Lubił teatr i zawsze, gdy zdarzała się awaria światła, przynosił od siebie świece. Teraz patrzył jak baraszkują młodzi Grecy, żegnał się raz po raz nabożnie, udawał oburzenie. Ale po jakimś czasie nie można go już było wyprosić z widowni; tkwił w kącie, przyklejony do krzesła i często wychodził dopiero, gdy obowiązek wzywał, by dzwonić na pierwszą poranną mszę. Nie chcieliśmy takiego sojusznika zrażać. Z miasta zaczynały już dochodzić ostrzegawcze pomruki, ktoś rozpuścił wi-ci, że w naszym teatrzyku szykują się jakieś bezeceństwa, a dewotki szykowały ponoć krucjatę. Aktorzy tracili energię i zapal – zarwane noce dawały o sobie znać. Wkradała się też zwolna niewiara w powodzenie całego przedsięwzięcia. Na domiar złego szycie kostiumów i oprawa plastyczna przekraczały całoroczny budżet; groziła kontrola NIK-u i związane z tym prawne konsekwencje.

Teatr jest wrażliwym zespołowym organizmem, więc wszyscy wokół zdawali się ulegać fatalnej atmosferze. Coraz gorzej działało się też na próbach. A termin premiery zbliżał się szybko. Koniecznie chcieliśmy zdążyć na Sylwestra, który kończył rok 1955. A tu atmosfera, zamiast wywoływać gejzery śmiechu, była wręcz grobowa. Aktorzy zatracili swobodę, celne riposty brzmiały drętwo, zniknęły gdzieś aluzje i odniesienia do współczesnej dulszczyzny, co miało być prze-

cież głównym atutem przedstawienia. Próba generalna nastroiła wszystkich mi-norowo. Groziła monumentalna kłapa. Jeden tylko Artur Marya był jak skowronek i zapewniał, że czeka nas sukces.

Teatr opuszczaliśmy nad ranem z nosami na kwintę. Pozostawało jedno: wypaść się i liczyć na łut szczęścia.

I stał się cud. Zabrzmiął pierwszy gong, kurtyna poszła w górę i już po chwili dało się wyczuć, że kontakt z widownią jest nawiązany. Wszystko szło jak z płatka: akcja rozwijała się płynnie i szybko, scena emanowała luzem i pikanterią, każdy niemal dowcip odbierano brawami i gromkim śmiechem. Sukces był ewidentny. Wkrótce bilety stały się rarytatem, za który można było kupić spod lady najbardziej poszukiwany towar. I tak było co wieczór przez ponad dwieście przedstawień. Nie tylko w Poznaniu, ale także na Śląsku i Wybrzeżu, gdzie teatr występował gościnnie. Nie na wiele się zdały urządzane kilkakrotnie protesty upartych wężycieli i wężycielek obyczajowych skandali. To tylko wzmagало reklamę. Bo po prawdzie nie było o co robić krzyku; dziś dawka golizny i rzekoma śmiałość niektórych scen, które demonstrowali aktorzy w tym spektaklu, mogłaby jedynie wywołać wzruszenie ramion.

Artur Marya po tym sukcesie uwierzył ostatecznie, że jego właściwym powołaniem jest pisanie dla sceny. I kiedy po roku, przy wciąż pełnej widowni zdjęliśmy z afisza *Achillesa i panny*, zaproponował następną sztukę *Powrót Alcesty*. Ta rzecz przeleżała się w jego szufladzie ładnych parę lat; wciąż do niej wracał, wzbo-gacał tekst o nowe przemyślenia i znów ją chował; do próby sceny nie dochodziło. Tym razem dramaturgiczna materia mia-

ła inny, wyższy niż w *Achillesie*... wymiar. Tam była beztroska i skrzęta się humorem zabawa, tu autor wchodził w głębszą sferę rozważań, która oscylowała wokół spraw ostatecznych – życia i śmierci. W dowcipie kryło się niemal zawsze drugie dno, zmuszające widza do myślowego wysiłku. Trudno było w ogóle określić *Powrót Alcesty* jako komedię w tradycyjnym znaczeniu tego słowa, bo dramat ludzkich postaw przedstawiał autor jak najbardziej serio. Zmartwychwstała Alcesta, wybierając władzę i życie w Tesalii, nie ma już wobec świata żadnych złudzeń; pozbywa się wiary i wszelkiej nadziei. A wszechwładzący Tanatos powiada do Heraklesa: *Ale Ty nie znasz ludzi. Dlatego właśnie obrałeś sobie zajęcie zbawiciela. Nie wiesz, że człowiek wcale nie chce być zbawiony*.

Te mroczne rozważania rozjaśnia nieco Admet, którego życiowe credo nabiera w początku naszego wieku dziwnej aktualności: *Przyznaję, owszem: popełniłem świnstwo, ale jeszcze nie zdążyłem dorobić sobie do tego ideologii*.

Co tu owijać w bawełnę, sztuka pa-dła, choć recenzje miała na ogół dobre i wśród lepiej przygotowanych widzów zdobyła sobie duże uznanie. Tych jednak było mało, ledwo garstka. Mierzyliśmy chyba zbyt wysoko, zbyt szybko chcieliśmy nadać satyrze wymiary niemal eschatologiczne.

Tymczasem w stolicy zapowiadała się teatralna sensacja. Po wielkim powodzeniu *Achillesa*... w Poznaniu do wystawienia komedii przygotowywał się Teatr Polski. Rolę tytułową miał grać Ignacy Gogolewski, resztę obsady stanowił też pierwszy gwiazdorski garnitur. Swinarski był w siódmym niebie. Wierzył, że wreszcie otwierają się przed nim najbar-

dziej reprezentacyjne sceny w kraju, a niedługo pewno i zagraniczne. Gdzie mógł, podkreślał też, że wszystko dzieje się dzięki nam, że to w Poznaniu potrafilimy go dopiero docenić. Było to miłe i nader rzadkie w literackim środowisku, gdzie każdy uważa, że sukces zawdzięcza tylko własnemu geniuszowi.

Teatr to instytucja nieprzewidywalna. W tym tkwi także jego urok i tajemna magia. Trudno było jednak przypuszczać, aby sprawdzony już na scenie tekst, przy dobrej obsadzie, w tak dobrym teatrze poniósł aż tak nieoczekiwaną klęskę. Na widowni Teatru Polskiego po premierowym przedstawieniu zapanował chłód; skąpe grzecznościowe oklaski, a po kilkunastu spektaklach już tylko garstka widzów. Niestrudzony w pomysłach Artur Marya uciekł się do rozpaczliwego fortelu: postarał się o zorganizowanie dodatkowej premiery i tak porozdawał bilety, aby wybuchł skandal, co zawsze jest dobrą receptą na rozgłos każdej imprezy. W pierwszych rzędach usadowił kelnerki ze SPATIF-u, sprzątaczkę i znajomych szoferów, a daleko w tyle samych ważnych notabli. Nina Andrycz, ówczesna żona Cyrankiewicza, zajmowała miejsce w dziesiątym rzędzie, minister Sokorski jeszcze dalsze. Starannie też dobrał w parę ludzi, o których wiadomo, że są śmiertelnymi wrogami, a tu wypadało im siedzieć koło siebie. Wszystko to nic nie dało i tylko dodatkowo pognębiło autora.

Co było przyczyną aż tak dotkliwej porażki? Chyba zbyttnia celebra i powaga w potraktowaniu tekstu, który był jak z pianki – należało go zagrać i zainscenizować lekko, z przymrużeniem oka. To nie był przecież Ibsen, ani żaden z szekspirowskich dramatów. Ale i to do końca

nie tłumaczyło tej ewidentnej klapy. Mo-
że więc po prostu nasz skromny teatrzyk
utrafił we właściwy czas?

Minęło kilka lat. Dawno już rozwiął
się złudny zefirek Października, a po po-
znańskim Teatrze Satyry zostało też tyl-
ko wspomnienie. Spotkałem Artura Ma-
ryę w okolicach warszawskiego Starego
Rynku. Był smutny i dziwnie zaniedba-
ny. Nie próbował nawet dowcipkować,
co było objawem szczególnej frustracji.
W tak złym nastroju jeszcze go nie wie-
działem. Poszliśmy na wódkę. Jednak
nawet po kilku głębszych nie odzyskał
werwy i sarkastycznego humoru. Był za
to jak nigdy skory do zwierzeń. Czuł się
pokrzywdzony i opuszczony przez los.
Żaden teatr nie chciał go grać – „*Żyję
z tekstów, które piszę dla cyrku*” – po-
wiedział łamiącym się głosem. „Nie
mam tu już czego szukać. Niszczą mnie.”
– Sięgnął do teczki – „Niech pan czyta,
właśnie to przed chwilą wysłałem. Jak
mi ten przekłety lysoń nie załatwi wyjaz-
du, to chyba strzelę sobie w łeb”.

Przebiegłem szybko po tekście, któ-
rego kopia dotarła do mnie teraz ponow-
nie dzięki uprzejmości rodziny profesora
Konstantego Grzybowskiego; on i jego
żona, pisarka Krystyna Grzybowska, byli
ze Swinarskim serdecznie zaprzyjaźnieni.

Warszawa 15 czerwca 1960 r.

Pan Premier Józef Cyrankiewicz

Proszę, by pan Premier spowodował
wydanie mi paszportu zagranicznego
na wszystkie kraje. Pragnę bowiem
przenieść się na przeciąg jednego roku
za granicę, ponieważ w kraju nie mo-
gę utrzymać się z pracy literackiej. Od
siedemnastu miesięcy, to znaczy od-
kąd moja „*Złota Wieża*” została przez

Ministerstwo Kultury i Sztuki zdjęta
z afisza, teatry wolą nie ryzykować
i żadnych moich utworów nie wysta-
wiają; mam również trudności z ich
drukowaniem. Doszła jeszcze choroba
i kosztowna kuracja. Byłem zmuszony
sprzedać swoje co cenniejsze meble,
obrazy i książki, ale wysprzedawanie
ma swój koniec. Rok bieżący jest dla
mnie rokiem jubileuszowym, bo jest
on sześćdziesiątym mojego życia
i czterdziestym mojej pracy. W związ-
ku z tym duża ilość scen zagranicz-
nych zapowiada wystawienie moich
dramatów (tłumaczono mnie do tej
pory na czternaście języków), będę się
wiec mógł bez trudu utrzymać za gra-
nicą. Wyjazd mój nie ma być ani de-
monstracją, ani emigracją, ale po pro-
stu ucieczką przed głodem. Długo już
nie pożyję, a chciałbym jeszcze trochę
napisać. Pan Premier zrozumie, że
praca w kraju jest dla mnie w takich
warunkach niemożliwa. Dlatego pro-
szę ułatwić mi wyjazd...

Premier potraktował prośbę przy-
chylnie. Zapewne chciano pozbyć się
niewygodnego autora, który w swojej
desperacji gotów był do niejednego
skandalu.

Z końcem 1960 roku Artur Marya
wyjechał do Wiednia. Miał przed sobą
jeszcze niespełna pięć lat życia. Znaczą-
cych sukcesów na emigracji nie odniósł;
coś mu raz po raz wystawiali, coś wy-
drukowali, ale świata swoimi dramata-
mi nie zawojował. Może jednak nadej-
dzie ponownie jego czas. Wspaniałe
pamflety, parodie, paradoksy czekają na
wydawcę.

Jerzy Korczak